



W stronę Leh wyjechaliśmy rano. Pożegnaliśmy odkryty przez nas Zanskar i po kilku godzinach jedliśmy już kolację w hotelu przy gompie w Lamayuru, a wcześniej zmyliśmy z siebie (ciepłą wodą... luksus!) pył z przebytych w ostatnich dniach dróg. Noc przespaliśmy w czystej pościeli, a obudziły nas dzwonki wzywające na puje. Śniadanie zrobili młodzi. Kanapeczki, jakkolwiek z chleba tostowego, były pyszne i kolorowe. Wyprawowicze wykorzystali kilka puszek konserw, kupione w drodze pomidory, ogórki i paprykę. A potem wpakowaliśmy się do travellerów i kolejny przystanek miał być i był w Alchi - niewielkiej wiosce ze światowej klasy zabytkiem, jakim jest kompleks gomp z X i XI wieku z cudownymi malowidłami naściennymi, przedstawiającymi różne oblicza Buddy. W dodatku przy świątyniach rosną drzewka morelowe, więc oprócz strawy duchowej była i ta dosłowna wyzerka. Po obejrzeniu gomp i wysłuchaniu tego, co na ich temat miała do powiedzenia Jowitka, poleźliśmy nad Indus porobić zdjęcia z rzeką w tle. No a potem zaczęło się coś, co kontynuowaliśmy w Leh, czyli ZAKUPY. W Alchi bowiem, przy ścieżce do świątyń, jest mnóstwo kramów z wszystkim, co nas interesuje, czyli z biżuterią, maskami i innymi przedmiotami ściśle powiązanymi z tradycją buddyjską i kulturą tybetańską. Kumar okazał się łaskawym wodzem i dał towarzystwu 30 minut na shopping. Byłam zaskoczona ile mogą młodzi w tym czasie dokonać, ale przeszli samych siebie dopiero w Leh. Bo nasi wyprawowicze to nie tylko wytrawni podróżnicy, ale także sroki łase na wszystko, co się świeci, influenserzy modowi i hojni dla swych bliskich w Polsce ludzie (tak, tak... spodziewajcie się giftów z Indii, na razie ciasno poupychanych w plecakach).

Z Alchi udaliśmy się do Likir z dwiema misjami - po pierwsze mieliśmy zamiar zwiedzić tamtejszą gompę (coś nowego jakby...), a po drugie odwiedzić szkołę prowadzoną przez mnichów, by zostawić tam, to co najbardziej obciążało plecaki młodych, czyli książki do nauki języka angielskiego podarowane przez sponsorów. I tak się stało. Nauczyciele i dyrektor szkoły byli zaskoczeni i niezwykle uradowani podarunkiem, który na pewno przyda się na lekcjach w szkole, w której uczy się ponad czterdzieścioro dzieci w wieku od kilku do kilkunastu lat.

Do tej szkoły wracaliśmy zresztą dwa razy, za pierwszym razem oddaliśmy knigi, ale nie było dzieciaków, które miały przerwę lunchową. Poznaliśmy ich dopiero po obejrzeniu gompy i wysłuchaniu mistycznej puji, podczas której mnisi, powtarzając mantry zakładali i zmieniali pięknie zdobione nakrycia głowy. Przy okazji zwiedzania monasteru Łukasz zwany Szotem po raz kolejny poszalał werbalnie, doprowadzając kronikarkę wyprawy, czyli moją skromną postać, do stanu wrzenia. W rezultacie ja strzełam focha, a rzeczonemu agresorowi skoczył cukier i musiał się ratować napojem gazowanym typu sprite. Ostatecznie, po raz 667, zakopaliśmy topory wojenne.

Po Likir było już Leh, miasto - stolica Terytorium Związkowego Ladakh, klimatyczne i oferujące świetne atrakcje. Po zakwaterowaniu się w hotelu Myfolwer, poszliśmy na spacer, by pokazać młodym drogi dojścia do centrum z pięknym deptakiem, nad którym powiewają buddyjskie chorągiewki, a przy którym handlują warzywkami i owocami (jak mówi Grace) babcie - kalarepcie. Cudne są w tych swoich ladakhijskich strojach, z twarzami osmaganymi wiatrem i palącymi promieniami słońca, z siatką zmarszczek, dodających królewskiego majestatu. A następnego dnia byliśmy w pałacu królewskim i starej gompie na szczycie skały. Zwiedzając pałac, każdy na własną rękę, ja i Grace spotkałyśmy Polaków. Małą grupę



dorosłych, podróżujących po górskich terenach północnych Indii, którzy stwierdzili, że cieszą się, że mogą poznać nauczycieli ze szkoły, o której wcześniej poznana młodzież tak pięknie opowiadała. I tu doświadczyliśmy wzruszenia nr 1. A potem łaziliśmy od sklepu do sklepu, kupiliśmy pocztówki, żeby wysłać pozdrowienia rodzinie i znajomym, a kolacje jadaliśmy w Tibetan Kitchen Restaurant, w której były znakomite dania z zarówno kuchni indyjskiej, jak i tybetańskiej. W dodatku zamówione porcje były wielkie, skutkiem czego z napchanymi brzuchami wracaliśmy do hotelu.

Innego dnia pojechaliśmy naszymi travellerami do dwóch przepięknych i ważnych monastyrów - Hemis i Thiksey. W Hemis zajrzeliśmy do pomieszczeń świątynnych, zwiedziliśmy też muzeum, w którym wyeksponowane są kilkusetletnie thangki, figurki, maski i inne przedmioty sakralne. W Hemis, w głównej świątyni siedział medytując mnich w czerwonej czapce i powtarzał mantry wybijając rytm na wielkim zielonym gongu. A nasza ciekawska młodzież dreptała w tę i nazad aż się bidok wkurzył i zaczął na nich psykać. Natomiast w Thiksey już bez przeszkód i denerwowania kogokolwiek zobaczyliśmy co najważniejsze.

W czasie pobytu w Leh nie tylko zrobiliśmy wstępne podliczenie wydatków wyprawowych, ale też inwentaryzację wspomnianych wcześniej konserw. Komisji inwentaryzacyjnej wyszło, że zostało jeszcze 60 puszek pasztetu i nadzwyczaj mało, podobno wspaniałej (jestem roślinożerna, więc trudno to potwierdzić) zapuszkowanej golonki. Najwyraźniej w naszej grupie są jacyś golonkowi skrytożercy, którym powiedzieliśmy stanowcze NIE. Serki topione nie nadawały się już do użytku, w związku z czym zostały wywalone. Ale w Indiach trudno umrzeć z głodu. Zawsze można coś dokupić, z czego da się zrobić pożywne śniadanko lub po prostu zamówić śniadanie w hotelu lub homestay.

Młodzi są mistrzami aprowizacji i ciągle coś przeżuwiają. Ciastka, suszone owoce, jabłka, banany, czekoladki, chipsy i cukierki są u nich na porządku dziennym. W Leh odkryli też kawiarnie przypominające te europejskie i nie tracili czasu... od razu zamawiali kawy, serniczki, murzynki, kawy mrożone i inne takie. W ostatnim dniu w Leh przed wyjazdem do Doliny Nubry były też prezentacje odczytów. Zachwycająco opowiedział o gospodarce Indii Karol Tront, interesująco o Himalajach i polskim himalaizmie Małgosia Cichy. A podczas kolacji w tejże samej, o której pisałam wcześniej nagle wszyscy młodzi wstali z miejsc i podziękowali nam za towarzyszenie im i opiekę na nimi podczas tej wyprawy.

Ścisnęło mi gardło, a ponieważ mam oczy w mokrym miejscu... widziałam, że Grace i Kumar reagują tak samo. Był „wielki wzrusz” nr 2, hymn Słowaka i gify w postaci tiszertów z wyhaftowanymi hasłami dla każdego z kadry.